

Ład serca

Jerzy Andrzejewski

Ład serca



TYNIEC
WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW
KRAKÓW 2010

Spójrz: godzina przedwieczorna.

Październikowy dzień, nasiąkły deszczem, rozrywany wiatrami, szybko ustępuje przed niecierpliwą nocą. Już nadciąga w ciężkich zwałach chmur, nisko, jak wielkie, szeroko rozczapierzone ptaki sunące ponad ziemią. Po krótkiej ciszy znów zrywa się wiatr. Wilgotny, nasycony oparami łąk i mokradel sedelnickich. Wiatr zapadłej Białorusi, dróg rozmiękłych jesienną porą, lasów, rozległych błot i wydm.

Zadzwoniły szyby w samotnej gajówce Siemiona. W kominie zagwizdał ostry przeciąg, na strychu trzasnęły nie domknięte drzwiczki. Taisa kołysze dziecko i cicho nuci. Tu losy zostały rzucone. Nic nie odwróci ich niszczącej siły.

Ksiądz Siecheń przyśpiesza kroku. Czy zastanie jeszcze Siemiona przy życiu? Może już jest za późno? Nie, nie! – broni się proboszcz. Jednak niepokój każe mu bieć. Błotnista ścieżka rozstępuje się pod nogami, ostre gałęzie zahaczają o dłonie torujące drogę, wiatr prosto w twarz.

Ten sam wiatr słyszy i Anna w Sedelnikach, w małym, brudnym pokoiku miejscowego zajazdu. Mimo zmierzchu widzi jeszcze w lustrze swoją twarz nabrzmiałą od popołudniowego snu, wymiętą i bladą, z resztą lepkiej, rozmazanej na policzkach szminki, z ustami, które w półmroku wydają się krwawą raną. Zza ściany, gdzie jest wyszynk, dobiegają ochryple głosy pijących chłopów. W radiu brzęczą hawajskie gitary. Trzeba

ubrać się, trzeba być gotową. Gdybyż można było przespać tę złą noc!

Mężczyzna, który wymknął się obławie i po paru dniach wyczerpanej ucieczki skrył się wreszcie w odludnym miejscu opodal mokradel Zelwianki, ten również w głębi porzuconego prawdopodobnie przez kłusowników szafasu wsłuchuje się w wichurę huczącą górą i dołem, bijącą zaciekle pod podszyciem gałęzi. Cały las zdaje się być jednym wiatrem. Strzeliste sosny grzmią jak organy ożywiane niewidzialnym oddechem. Kiedyż skończy się ta pieśń gniewu i kłątwy?

O, noc, która idzie, nie zapowiada się na łagodną. Jest to jeden z tych dni, kiedy uchodzące słońce żadnym błyskiem pocieszenia nie żegna opuszczonej ziemi. Od wschodu do zachodu, jak ogromne jest niebo, leży smutna i beznadziejna szarość. Wtedy wydaje się, że godziny ciemności, które nadejdą, będą nieskończone. Ich tajemnicza groza już teraz uderza niepokojem w serce. Strach – oto czym w takich chwilach drży samotna ziemia. Jest to czas daremnej ucieczki dla błądzących, a próby dla tych, którzy szukają. Wystarczy natężyć słuch, aby w tej otchłani, dla wielu bez dna, wyłowić lament i przekleństwa potępionych, a także żarliwe wołanie proszących.

Cóż przyniesie noc dzisiejsza? Jakie losy skrzyżuje? Dokąd podążą ci, którzy tej nocy nie prześpią i czuwać będą, gdy w białej mgłę wstanie godzina piejących kogutów?

Oto noc, która wielu z nas wyrzuci ze swego oddechu na poranny brzeg, nagich i skrwawionych.

Wtedy od nas będzie zależeć, abyśmy rzekli: Panie, nie jestem godzin...

I

Niewiele z dnia, który ma się teraz ku końcowi, zapamięta Taisa. Noc poprzednia, noc pożegnania Siemiona – to był koniec. Cóż się mogło jeszcze stać? To, co uczyni za kilka godzin, dokonało się w niej już wówczas, kiedy trzymała w ramionach umęczone bólem ciało Siemiona. Wtedy właśnie postanowiła zabić dziecko i siebie. Na śledztwie zdarzenia późniejsze, nawet odwiedziny proboszcza z Sedelnik, zatrą się jej w pamięci. Gdy po kilku miesiącach opuści szpital i w więzieniu wojewódzkim oczekiwać będzie rozprawy, godziny, które wszystko w jej życiu zmieniły, pozostawia w wyobraźni tylko niejasny obraz nieruchomych, zastygłych zdarzeń, ciężki, ciemny osad. Czas tych chwil skurczy się, jakby cierpienie zamknęło jego bieg w twardą skorupę. Ale to już inna, późniejsza historia: dzieje Taisy, gdy uniewinniona znajdzie się w wielkim mieście.

Siemion umierał spokojnie. To było jej zwycięstwo. Do ostatka chciała go mieć takim, jakim był dla niej zawsze i jakiego kochała: wspaniałego i nieustraszonego.

Przytomność zachował do końca. Mały Józik spał w kołysce. Fiodor wałęsał się przed chatą. Widziała jego smukłą sylwetkę ostro rysującą się w zmierzchu. Majstrował coś przy płocie, wiatr rozchylił mu koszulę na piersi, rozwichrzył włosy. Nigdy nie wydał się jej tak podobny do Siemiona. Miał ten sam zarys rozrośniętych ponad swoje siedemnaście lat ramion, to samo śmiałe osadzenie głowy, podobną zwięzłość bioder. Odwróciła się.

Siemion leżał nieruchomy, z dłońmi złożonymi na kołdrze. Oddech miał krótki, ledwie dosłyszalny. Jego młodą twarz

zapadłą na policzkach, z wyostrzonym nosem, znaczyły już śmiertelne cienie. Jak kłęb robaków toczyły bezbronne ciało. Ale mimo okrutnych zmian był w nim spokój. W oczach czujnie rozwartych leżała cisza. Wchłaniał ostatnie chwile zachodu, jakby ten obraz tak szybko mający się rozpaść chciał zatrzymać, zamknąć pod powiekami i z sobą zabrać.

Okno było na wprost łóżka.

Odsłaniało widok na leżący w dole jar, w dnie pogodne nasłoneczniony i spokojnie skupiający gładką gęstwinę młodych sosen, teraz jak ciemne jezioro w czasie burzy skłębiony w gwałtownych skurczach. Głębokie leje rozwierały dygocący zagajnik, a mrok, jakby tylko czekał na podstępny pracę wiatru, wciskał się zaraz w szczeliny, wypełniał je nocą, która rosła czarną kurzawą. Wyżej, na urwistym zboczu, las, teraz już bezkształtny, chylił się ku kotlinie niby ogromne zwierzę przyczajone do skoku.

Stamtąd szedł wiatr. Słysząc było, jak wraz z gęstniejącą ciemnością ciągnął ogromny szum, zrazu jednostajny, od ziemi do nieba jednolity i zwarty, lecz gdy zbliżał się pełen chrzęstów liści i jak wirujący słup wyrastał ponad dachem – rozpadał się nagle na tysiąc zmieszanych głosów, z których jeden wszyskimi, żekłbyś, kierujący był głosem nowego natarcia. I tak zlewały się w całość: głosy bliskie z jednym odległym, który je powoływał i podsyczał.

Jesień już była w pełni. Gdy raz tu rozpoczął się czas wiatrów i słoty, ciągnął się zwykle aż do pierwszych śniegów. Wielu nazywało ów okres czasem diabła. Pewien stary chłop z Sedelnik teraz jeszcze opowiadał, że w roku, który łączył dwa wieki, o takiej właśnie porze, ciemną nocą, spotkał czarta na kamienistym wzgórzu tudroskim koło cmentarza dla samobójców. Gdy dął wicher, matki mówiły dzieciom: to diabły tak harują i czatują na niedobrych ludzi.

Rzeczywiście złe to były miesiące. Jeśli zdarzyło się w okolicy jakieś nieszczęście, prawie zawsze jesienią. Ludzi wtedy najwięcej śmierć zabierała, kłótnie najzacieklejsze przyjaciół

rozdzielały, chłopcy rzucali dziewczyny, grzech miał swoje używanie, zło kusiło ponad ludzkie siły.

A przecież Siemion lubił tutejszą jesień. Przed rokiem, nie zważając na ostrzeżenia, właśnie w październiku ożenił się z Taisą. Wierzył w przesady, ale nie wierzył, aby mogły zwrócić się przeciw niemu. A deszcz i wiatr to nie były przeszkody dla jego młodości. Dzień, często i noc jedną i drugą spędzić na słońcu niewiele dla niego znaczyło. Jak nikt zrósł się z tymi stronami.

I czyż mógł przypuścić, że szum sosen, wśród którego od dzieciństwa wzrastał, tak szybko będzie go żegnać? Tutejsze lasy nie kryły przed nim żadnej tajemnicy. Znał wszystkie ścieżki i każde chyba drzewo na całej przestrzeni, od błot sedelnickich aż do wydmy Chorożówki. A jednak zapuściwszy się raz z Fiodorem w głąb puszczy nie przewidział, że korzenie pewnej znanej mu starej sosny, podmyte strugami ulewnego deszczu, nadwątlone wiatrem, nie wytrzymają silniejszego podmuchu i olbrzymie drzewo runie nagle, grzebiąc go wśród swego gąszczu. To było przedwczoraj, też o porze wieczornej. Fiodor stracił głowę. Zostawił brata i pobiegł po pomoc. Ale najbliższe osiedle było daleko. Siemion parę godzin przeleżał, zanim przyszli ludzie i zabrali się do podźwignięcia ogromnej kłody. Ocknął się dopiero w ciemnościach. Uczuł, że jest niesiony, a wysoko ponad czarnymi splotami drzew ujrzał niebo pogodne i ciężkie od gwiazd. Potem, niedaleko gajówki, przy migotliwym świetle łuczywa, zobaczył Taisę. Nie płakała. Szła obok podtrzymując mu głowę. Chciał uśmiechnąć się, powiedzieć coś, gdy krew rzuciła mu się ustami.

Nazajutrz przyjechał doktor z Sedelnik. Obejrzał pobieżnie chorego, stwierdził jakieś wewnętrzne obrażenia, mówił o potrzebie operacji, ale nie kazał wieźć do powiatowego miasteczka. Za daleka i za ciężka była droga.

O jak długie wydawały się teraz godziny! Taisa po cichu kręciła się po chacie, ani chwili nie była bezczynna, ciągle wyszukiwała jakąś robotę. A kiedy już żadnej pracy pod ręką nie

miała, wyjmowała z kołyski małego Józika i nucąc chodziła tam i z powrotem. Burczała na Fiodora, gdy osowiały siedział w kącie. Pędziła go na dwór, to żeby drzewa narąbał, to znów wody naciągnął. Wszystko w domu i gospodarstwie musiało iść swoim zwykłym porządkiem. Czasami tylko i jakby w przerwie pomiędzy innymi zajęciami przysiadła na łóżku. Pytała wtedy Siemiona, czy nie chce jeść, kołdrę mu poprawiła, poduszkę pod głowę lepiej ułożyła. I już jej nie było.

Tak minął pierwszy dzień. Przyszła noc. Siemion czuł, że słabnie. Leżał bezwładny, jak drzewo, które go przygniotło. Tępy ból łamał mu piersi, targał wnętrzności, głowę głuchy szum rozsadał, dłonie, gdy chciał je unieść, leciały bezsilnie, oddech stawał się coraz krótszy. Nie mógł zasnąć.

Taisa ułożyła się na podłodze. Ale i ona nie spała. Leżała cicha, nie ruszała się, lecz po oddechu poznał, że czuwała. Z sąsiedniej izby dobiegało chrapanie Fiodora. Las szumiał monotennie. Drobną deszcz siepał w szyby, tłukł o dach, woda dzwoniła w rynnie. Jakże inna była ta noc od wszystkich poprzednich. Za oknami czaiła się ciemność wroga i natarczywa. To już nie był ten sam nocny gąszcz, który Siemion tyle razy pokonywał szybkim krokiem i pewnym ramieniem. Cały dom drżał od tajemniczych szmerów. Ściany rozdzierało ciche kwilenie. Gdzieś w pobliżu nawoływała sowa.

Długo leżał Siemion z otwartymi oczami. Wreszcie zapadł w płytki sen. Zbudził go straszny ból w brzuchu. Ciemność była taka sama, tylko deszcz ustał i wiatr ucichł. Po raz pierwszy w życiu ogarnął go lęk. W ciszy, jaka teraz zaległa, ból jeszcze gwałtowniej zdawał się rosnać, wypełniał każdą komórkę ciała. Półprzytomny, niezupełnie rozbudzony, skulił się odruchowo, nogi podkurczył i dłońmi ścisnął brzuch. Wstrząsnęły nim dreszcze, drżał z zimna, był cały okryty potem, słyszał, że zęby mu dygocą, zwarł je mocno, aby zdławić jęk. Nie przypuszczał nigdy, że cierpienie fizyczne może być tak przerażające. Miał wrażenie, jakby mu rozdzierano wnętrzności rozpa-

lonym hakiem. Mdlący ból podchodził pod gardło, krew powoli odpływała z głowy, zacisnął powieki.

Nagle posłyszał obok szmer. Otworzył oczy. To Taisa stała przy łóżku. O nic nie pytała. Nieruchoma, w białej koszuli przypominała zjawę. W pierwszej chwili wydawało się Siemionowi, że śni. Ale nie, to nie był sen. Widzi przecież, jak Taisa ruchem szybkim, ledwie uchwytnym odchyła kołdrę i w tej samej chwili Siemion czuje blisko jej ciepłe ciało. Milcząc objęła go oburącz i delikatnie do siebie przygarnęła, jak samica, która swoje małe chce obronić przed niebezpieczeństwem. Z głębokim westchnieniem poddał się uściskowi, zdumiał się, że strach rozwiązał się jak zła, gorączkowa zmora. Przeniknął go spokój. Naprężone mięśnie rozluźniły się. Co za ulga! Już nie myślał o bólu. Chciał tylko, aby ta chwila trwała jak najdłużej, zawsze. Czuł się bezpieczny, odgradzony od nocy i uwolniony od cierpienia. Oddech Taisy rozgrzewał zeszywniałe policzki – pozwolił biec kojącemu ciepłu. Wtedy przyplęnęło ku Siemionowi wspomnienie dnia, w którym po raz pierwszy wziął w ramiona Taisę.

Był letni wieczór. Umówili się na łące, na skraju sedelniczkich pól. Kiedy przyszedł, Taisy nie było, trwały jeszcze roboty w polu. Położył się przy miedzy, koło bujnego łąnu żyta. Od Zelwianki ciągnął zapach tataraku i mięty. Niebo na zachodzie płonęło jeszcze, ale już mrok koloru gołębi obwijał nadrzeczne olchy. W zbożu kłaskały świerszcze. Z łąk odpowiadały kumkania żab.

Taisa zjawiała się tak cicho, że nie słyszał, kiedy stanęła z tyłu i uklękła. Dopiero jej dłonie poczuł nagle na oczach... Pożegnali się późną już nocą. Tak trudno im było się rozstać. W ciszy, pod nieskończonymi smugami gwiazd, słyszeli swoje serca złączone w pocałunku jednym rytmem. Nie przysięgali sobie wierności ani wiecznej miłości. Czuli przecież oboje, że złączyła ich siła od obojga mocniejsza, na zawsze zamykając w kręgu tak ciasnym, jak splot ich spragnionych ciał, a jednocześnie tak ogromnym, jak bezmiar pól, łąk i nieba.

Teraz po raz drugi przeżył Siemion to samo. Wydało mu się przez chwilę, że znowu jest letnia noc i Taisa leży w trawie chłodzącej rosą. Szum, który słychać, czyż to nie bełkot rzeki? Żaden cień ostrzeżenia nie padł na to zapamiętanie. Nic Siemionowi nie podszeptało, jak innymi ścieżkami biegła myśl Taisy.

Było daleko jeszcze do rana, ale w głębi mrok już rzednął. Otwierała się przestrzeń, tu czarna, zamknięta czarnym krzyżem okna, lecz gdzieś na niewidocznych krańcach rozstępująca się powolnie przed smugami pierwszego światła.

Wielka cisza położyła się na przedranną godzinę. Las milczał. Z bardzo daleka, od strony Sedelnik, jakby z jakiejś innej ziemi, przyszło wiotkie pianie kogutów. Kończyła się noc.

Leżeli ciągle bez jednego słowa, poczuł tylko, że Taisa silniej przywarła do niego, a jej usta mocniej zamknęły jego usta. I nagle, w chwili, w której ogarnęło go bezgraniczne szczęście, Siemion zrozumiał, że umrze.

II

Wieść o wypadku Siemiona Dubrowskiego szybko dotarła do Sedelnik. Nazajutrz wczesnym rankiem przybiegł do wsi Fiodor posłany po doktora i dokładnie spotkanym po drodze znajomym opowiedział, co się wydarzyło ubiegłego wieczoru.

Trudno było ludziom uwierzyć w nieszczęście tak nagłe. Gdyby kto inny padł ofiarą, nie Siemion. Ale tak... Przed dwoma zaledwie dniami widziano go tutaj. Wielu piło z nim u Grzegorza Litowki. Wesoły był wieczór. Siemion zapraszał i płacił. Kobieta, którą Litowka sprowadził niedawno ze stolicy, wyszła do gości, wypija kilka kieliszków, wpadła w dobry humor i usiadłszy na stole tak, że nogi aż po kolana odstoniła, zaśpiewała swoim zachrypniętym głosem jakieś warszawskie tango. Komu sprzykrzyły się swojskie dziewczyny i chciałyby zakosztować wymyślnej miłości, mógł ją mieć za dwa złote. Płaciło się Litowce. Pierwszy polecał na to kierownik poczty, pan Jabłoński, którego żona od trzech lat na gruźlicę dogorywała i skonać nie mogła ku utraپieniu małżonka. Doradzano też Siemionowi, bo był przy pieniądzach, żeby pokazał warszawiance, jak chłopaki sedelnickie potrafią kochać. Wzruszył tylko ramionami. Nie dla niego były podobne historie. Siedział przy stole w kącie, podparł głowę pięściami, zapatrzył się w noc za oknem. Kiedy Anna wyszła ze swoim kawalerem, zanucił nagle po cichu tutejszą piosenkę. Od razu ustały śmiechy, zmiłkł gwar. Nawet Litowka znieruchomiał za kontuarem i spowaźniała mu pijacka gęba. Uczyniła się taka cisza, że oddechy było słychać. Siemion natężył cokolwiek głos, ale dalej mogło się zdawać, że dla siebie samego raczej śpiewa niż dla obecnych. Słuchano go

jednak. Nikt z taką szczerością nie umiałby uchwycić snującej się poprzez melodię szerokiej i spokojnej tęsknoty białoruskich pól i łąk. Jego głos młody i jasny chwycił za serce. Była w nim i radość, i smutek, namiętność i jeszcze inny nieokreślony akcent, jakby oczekiwania. Tak to wszyscy wtedy odczuli. Ale nikomu nawet do głowy nie przyszło, że po raz ostatni Siemion śpiewa.

Księżdz Siechenia również zaskoczyła wiadomość o wypadku. Przyniósł ją Michaś. Było to w godzinach lekcji. Olek Kukisz, który od samego Fiodora dowiedział się o wszystkim, opowiedział mu całą historię. Michaś nie mógł doczekać końca godziny. Siedział z bijącym gwałtownie sercem. Wyrwany do odpowiedzi, zapomniał wszystkiego, czego się nauczył. Nie umiał skupić myśli, plątały mu się słowa, mówił zupełnie od rzeczy. Wrócił wreszcie na miejsce obdarzony gniewną miną nauczyciela i złym stopniem. Ale nie przejmował się tym. Co innego go pochłaniało. Ledwie zabrzmiał dzwonek, wybiegł z klasy na dwór.

Znalazł proboszcza na budowie koło kościoła. Ksiądz Siecheń stał przy zwiezionych ceglach i zadarłszy głowę przyglądał się murarzom pracującym na rusztowaniu opasującym zapadającą się przy zakrystii ścianę. W pierwszej chwili nie zorientował się, o kim mówi zadyszany Michaś.

– Siemion? – spytał – Jaki Siemion?

– No, Dubrowski, gajowy! Ten, co w zeszłym roku ożenił się z Taiską.

Teraz przypomniał sobie ksiądz Siecheń dzień, w którym pobłogosławił kłęczącą przed nim parę. Ale spoza tego wspomnienia wyłonił się zaraz inny obraz. Natarczywy, upokarzający. Wpatrzony w robotnika wyprostowanego na rusztowaniu ujrzał proboszcz siebie wyciągniętego na łące. Usłyszawszy w pewnej chwili szelest czyichś kroków, zerwał się. Wtedy spostrzegł Siemiona. Stał na wzgórzystym skraju lasu, smagły i wysoki, z głową lekko przechyloną, podobny do legendarnego bożka,

który nagle zjawił się w nadrzecznym pustkowiu, spragniony chłodu i wypoczynku. Ksiądz Siecheń tak się stropił, że zapomniał sięgnąć po leżące opodał ubranie, aby okryć swoją nagłość. Pozbawiony sutanny, wydany na jaskrawe światło słońca, które okrutnie podkreślało wątlność wychudłego ciała, czuł się śmieszny, niedorzecznie odcinający od bujności traw i nadbrzeżnych trzcin. Jak żałośnie musiał wyglądać z tą swoją klatką piersiową niekształtnie sklepioną, ramionami wyprutymi z mięskulów. Tymczasem Siemion wolno schodził ku rzece. Z daleka pozdrowił proboszcza. Potem zatrzymał się obok i spytał, odgarniając zsuwające się na czoło włosy, czy woda jest ciepła. Ksiądz Siecheń przeżył kilka okropnych chwil. Bał się spojrzeć w oczy Siemiona, aby nie dojrzeć w nich, jak przypuszczał, ironicznego lub pobłażliwego błysku. Mówił więc patrząc w bok, daremnie usiłując głosowi nadać naturalne brzmienie. Czuł, że każde jego słowo jest nieporadnym tłumaczeniem. Mówił o upale.

Był to rzeczywiście skwarny dzień, jeden z wielu długiej suszy. Rano musiał udać się ksiądz Siecheń do pobliskiego Kruchlika. Droga powrotna wypadła mu w samo południe. Upał był tak silny, że nawet las nie dawał chłodu. Gorejący żar leżał na poszarzałych sosnach, z pni nabrzmiiałych żywicą, z igliwia i zeschniętych mchów biła duszna spiekota. Niedaleko przepływała Zelwianka. Pokusa kąpieli była zbyt silna. Ksiądz Siecheń skręcił w boczną ścieżynkę. Gdy urwała się, zaczął przedzierać się przez nadbrzeżne wikliny. W tym miejscu Zelwianka płynęła szeroko rozlanym łóżyskiem, horyzont przysłaniały wysokie trzciny, bliski brzeg biegł ku zaroślom płaską łąką.

Ksiądz Siecheń odetchnął radośnie. Zarówno ustronne miejsce, jak i pora obiadowa zdawały się zapewniać samotność. Ściągnął sutannę, szybko się rozebrał. Słońce mocno przygrzewało, ale jakaż rozkosz czuć jego ciepło na skórze niekrepowanej żadną odzieżą! Położysz się na ziemi – niebo zobaczysz przechylone nad sobą, orzeźwiający chłód cię ogarnie, brzęk owadów otoczy... Ale tego wszystkiego, choć chciał, nie wypowie-

dział wobec Siemiona. To z dalszych słów tamtego wytrysnęło, niby snop iskier, zachwycenie swobodą. Radosne zapamiętanie, zdobywczą chłonność. Proboszcz słuchał oszołomiony. Czemuż sam nie umiał się tak radować? Cierpiał.

Teraz odczuł podobny, nieomal fizyczny ból. Zapomniał o obecności Michasia, mdły ciężar przygniótł piersi. Dopiero głos chłopca przywrócił mu przytomność. Drgnął. Spojrzał na małego. Miał pobladłą twarz, usta mu drżały.

– Proszę księdza! – zawołał patrząc błagalnie w oczy opiekuna. – Trzeba ratować Siemiona. Proszę księdza...

Głos Michasia wezbrał tak bezgraniczną ufnością, że proboszcz zaniepokoił się.

– Moje dziecko, cóż ja mogę zrobić?

– Wszystko, wszystko!

Duże oczy Michasia pociemniały. Chwycił księdza za rękę i oburącz mocno ją ścisnął.

– Siemion nie może umrzeć. Ksiądz musi... Ja nie chcę, żeby umarł. Ja...

Nie dokończył. Głos mu się załamał. I w tej chwili ksiądz Siecheń poczuł na swojej dłoni gorące wargi chłopca.

– Moje dziecko – powtórzył.

Pogładził Michasia po zwichrzonych włosach. Jakim ciężarem może być ufność!

– Nie wiedziałem, że znałeś Siemiona.

Michaś podniósł głowę.

– To mój przyjaciel – powiedział z akcentem dumy. – Prawdziwy przyjaciel. Jego wszyscy kochają. A mnie...

Zawahał się, jakby zląkł się, że za dużo powiedział. Widząc jednak badawcze spojrzenie proboszcza, zdecydował się.

– Bo mnie Siemion... Ksiądz nic nie wie... Kąpałem się raz i... on mnie uratował. Siemion!

Ksiądz Siecheń zbladł.

– Topiłeś się?

– Tak.

– I nic mi nie powiedziałaś?

Michaś spuścił oczy.

– Kiedy to było?

– O, dawno, na wiosnę jeszcze.

Spoza drogi dobiegł dźwięk szkolnego dzwonka, oznajmający koniec paury. Ale ksiądz Siecheń nie słyszał go zapewne, bo nawet się nie ruszył. Michaś też został. Stali obok siebie w milczeniu. Ze wschodu nadciągały niskie, szare chmury. Stado karek kołowało pomiędzy więdnącymi kasztanami.

– Proszę księdza – szepnął Michaś. – Ksiądz gniewa się na mnie, prawda?

Proboszcz uśmiechnął się smutno.

– Nie. Przykro mi tylko, że dowiaduję się ostatni.

– O, nie! – zaprzeczył gorąco Michaś. – O tym nikt nie wie. Siemion... – znowu zawahał się, lecz tylko na krótką chwilę. – Zresztą wszystko już księdzu powiem. Teraz można. Siemion prosił mnie, żebym nikomu nie mówił.

– Siemion?

– Tak. Powiedział, że to nic wielkiego, a ludzie gotowi zaraz z niego zrobić bohatera. Dałem mu więc słowo, że to pozostanie tajemnicą między nami. Taki cudowny był wtedy! Okrył mnie swoją kurtką. Potem aż do samych Sedelnik odprowadził. A później... jeszcze kilka razy brał mnie z sobą na łódkę. Razem z Fiodorem. Jeździliśmy aż do Mogiłek, na ten stary cmentarz. Jeśli więc o tamto prosił... Nie zrobiłem chyba źle?

– Nie – powiedział ksiądz Siecheń. – Nic złego nie uczyniłeś.

Uczuł jednak, że nie przyjął wyznania Michasia szczerze. Zdał sobie sprawę, że serce małego nie należało już do niego wyłącznie. Myśląc dotąd inaczej, czyż nie pozostawał od wielu miesięcy w złudzie? Oto nawet nie wiedział, kiedy przyszła chwila, w której na życie Michasia, dotąd tak proste i jawne, padł zaborczy cień, aby mógł pod jego osłoną wśliznąć się ktoś nowy. Pierwszy, najtrudniejszy wyłom uczyniony. Jak wielu od-

tąd ludzi będzie mogło z łatwością zdobywać łaknące i ufne serce dziecka, iluż zostawi w nim zdradzieckie ślady, pod jak licznymi, złobiącymi głęboko śladami ugnie się chłopięca niewinność? Powrót? O, nigdy nie wraca się takim, jakim się odeszło! Ksiądz Siecheń czuł, że teraz z każdym dniem Michaś będzie się od niego oddalał. Aż przyjdzie chwila, gdy odejdzie zupełnie.

Przy obiedzie ukradkiem obserwował swego wychowanka. Nie mówił więcej o Siemionie. Ale oczy Michasia przysłonięte mgłą ciemniejszą jeszcze niż z rana, choć wbite uporczywie w stół, zdradzały jego myśli. Nie opowiadał jak zwykle o szkole, pytania zbywał odpowiedziami, których zwięzłość rwała dalszą rozmowę. Zaległo wreszcie milczenie. Ksiądz Siecheń jadł z gardłem ściśniętym. Po raz pierwszy nie znajdował wobec Michasia żadnych słów. Wiedział, że ani jedno nie stanie się pocieszeniem ani ulgą. Cóż możemy, gdy cierpi ktoś, kogo kochamy?

Za oknami wiatr targał małymi jabłonkami, żółtki, usychający ogród szeleścił monotonna. Dalej, aż po niski horyzont, leżała nieruchoma szarość zoranych pól.

Po obiedzie ksiądz przeszedł do swego pokoju. Michaś został w pierwszym, miał odrabiać lekcje. Ale nie pracował dłużej niż kwadrans. Wkrótce usłyszał proboszcz szelest odsuwanego krzesła. Michaś podszedł do okna. Stał chwilę, potem otworzył drzwi do sionki. Za chwilę znalazł się przed domem. Patrzył w stronę drogi. Już zmierzchało. Na szybach ukazały się drobne krople deszczu. Wiatr wzbierał, kłęby zwiędłych liści wirowały w powietrzu.

Nagle zaturkotał na szosie wóz. Michaś pędem pobiegł ścieżką, pchnął pośpiesznie furtkę i zatrzymał się na skraju drogi, której ostry zakręt osłaniały w tym miejscu wysokie brzozy. Ksiądz Siecheń podniósł się. Zobaczył tylko głowę chłopca. Turkot szybko się zbliżał.

Proboszcz zawahał się. W domu była cisza, tylko z kuchni dobiegał głos starej Ksieni i stuk zmywanych talerzy. Przeszedł

do jadalni. Na stole leżały poroztwierane książki i zeszyty. Drzwi do sionki były uchylone. Dmuchał stamtąd chłodny powiew.

Gdy wyrzwał na ganek, zobaczył Michasia wracającego. Szedł wolno, ociężale powłócząc nogami, przygarbiony, ze spuszczoną głową. W pierwszej chwili wydało się księdzu, że zbliża się ktoś obcy, nieznany. Jakby nowymi zupełnie oczami ujrzał Michasia. Nie było w nim już nic z łagodnego dziecięctwa, które jeszcze wczoraj miał w ruchach, w głosie, w całej postaci. Kiedy w odległości kilku kroków od ganku podniósł głowę i zatrzymał się na sekundę spostrzegłszy opiekuna, zobaczył proboszcz przed sobą, w szarzejącym zmierzchu, twarz dojrzałego chłopca o rysach, które, mogło się zdawać, jedna chwila niespodziewanie wykończyła, złościąc delikatne policzki twardymi cięciami, a czołu odbierając jasny spokój. Zrobił ruch, jakby chciał cofnąć się.

– Michasiu! – zawołał ksiądz.

Podszedł pod ganek. Skrył go cień pnącej winorośli i drewnianych kolumnienek.

– Deszcz pada, dziecko, chłodno, a ty chodzisz tak lekko ubrany... zaziębisz się jeszcze.

Po chwili spytał:

– Odrobiłeś już lekcje?

Na drodze znowu zaturkotał wóz. Michaś odwrócił się i nasłuchiwał.

Ale podobnie jak przedtem, była to zwykła chłopska furmanka. Skręciła zaraz w boczną miedzę. Deszcz padał coraz większy. Poprzez wiatr dochodził niedaleki bełkot dworskiego młyna.

Michaś poruszył się.

– Dlaczego on tak długo nie wraca?

Ksiądz Siecheń spodziewał się tego pytania. Dobrze domyślał się: to powrotu doktora od Siemiona tak niecierpliwie oczekiwał Michaś. Ale zanim zdążył mu odpowiedzieć, ten zbliżył się tak blisko, że ksiądz uczył na twarzy jego oddech.

– Może już nie żyje? – zawołał z rozpaczliwą niepewnością.

Uderzony tym przejmującym akcentem ksiądz Siecheń przypomniał sobie, że przed wieloma laty, w czasie wojny, gdy wśród ciemnej nocy odnalazł na polu ciężko rannego przyjaciela, podobny okrzyk i jemu się wyrwał. Głęboko w świadomości, jakby uśpione, lecz niezmiennie, gdy ocknie się nagle, odnalazł przerażenie. Lęk, który budzi śmierć. Ostry dreszcz go przeszył. Uczuł chłód pod czaszką. Miał przez sekundę wrażenie, że wszystko dokoła zmarło. Sylwetka stojącego na progu Michasia zastygła w bezruchu. Nie widział już jego twarzy. Wyciągnął więc rękę i pod palcami rozpoznał pierś chłopca.

– Mój mały... – szepnął tkliwie.

„Boże! – myślał – nie opuszczaj tego dziecka w ciężkiej godzinie. Nie odchodź go, jeśli raz obdarzyłeś łaską. Uchroni od cierpienia, które rzuca w przedwczesną samotność. Pomóż, Panie, spokojnie dojrzeć temu sercu”.

Spytał:

– Pamiętasz, Michasiu, chorobę Ksieni? W zeszłym roku?

– Tak.

– I jak jednego dnia, wieczorem, pamiętasz, wszedłem do twego pokoju, klęczałeś przed łóżkiem i modliłeś się.

– Pamiętam.

Ksiądz Siecheń mocniej przygarnął chłopca. Jakże pragnąłby usłyszeć w tej chwili jego gwałtowny szloch, płacz, który sercu nie pozwala zastygać. Ale Michaś, choć poddał się ramionom księdza, dalej stał nieruchomy, z oczami wbitymi w ziemię.

– A teraz? – podjął proboszcz. – Nie próbowałaś teraz?

Poczuł, że Michaś drgnął. Nie odpowiedział jednak. Ksiądz Siecheń otworzył usta, lecz zdanie, które chciał rzucić, zamarło mu na wargach. Ogarnął go lęk, że za chwilę mogą paść słowa, które zniszczą wszelką nadzieję. Opanował się jednak. Za daleko już się posunął, aby teraz cofać się.

– Modlitwa! – zawołał żarliwie. – Dziecko moje drogie, nie sądzisz, że przyniosłaby ci ulgę?

Zaległa cisza. Wreszcie Michaś powiedział krótko:

– Nie.

Jego głos zabrzmiał spokojnie, był opanowany, zadźwięczał w nim nie znany dotąd twardy akcent. Patrzył proboszczowi prosto w oczy.

– Wtedy to było co innego – dorzucił po chwili.

I lekkim, choć stanowczym ruchem wysunął się z objęcia.

– Pójdę lekcje dokończyć, dobrze?

Przeszedł cicho przez ganek. Znalazłszy się w sionce zamknął za sobą drzwi.